

Drugie oblicze miłosierdzia

Każdy z nas został osobiście wezwany do refleksji, aby słowa o miłosierdziu przetłumaczyć na konkret i odnaleźć własną drogę wewnętrznej przemiany i zewnętrznego działania – pisze Zbigniew Stawrowski w książce „Solidarność znaczy więź. AD 2020”.

Wtedy zastanowił się i rzekł: [...] zabiorę się i pójdę do mego ojca i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem Ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem: uczynź mnie choćby jednym z najemników (Łk 15, 11–32).

Głównym przesłaniem ostatniej papieskiej pielgrzymki[1] są poruszające słowa o Bożym Miłosierdziu, do którego docieramy i w którym uczestniczymy sami, pełniąc akty miłosierdzia. Przesłanie wydaje się proste i jednoznaczne. Jest jak dobre ziarno zasiane przez siewcę, a to, czy wyda plon, czy wydziobią je ptaki lub zagłuszą ciernie, będzie zależec od wrażliwości serc, mocy woli i przede wszystkim jasności naszych umysłów. Każdy z nas został osobiście wezwany do refleksji, aby słowa o miłosierdziu przetłumaczyć na konkret i odnaleźć własną drogę wewnętrznej przemiany i zewnętrznego działania. Warto więc na spokojnie wczytać się w homilie z Łagiewnik, Błoni i Kalwarii, warto sięgnąć do encykliki o Bożym Miłosierdziu. Warto również przysłuchiwać się uważnie popielgrzymkowym komentarzom – także tym, które z orędzia Jana Pawła II usiłują uczynić

ideologiczną podpórkę dla niezbyt chrześcijańskich programów. Tak bowiem wygląda konkret naszego życia i w nim właśnie, a nie gdzie indziej, mamy odpowiedzieć na papieskie przesłanie.

Podczas niedawnej wizyty w Polsce Ojciec Święty położył nacisk przede wszystkim na miłosierdzie rozumiane jako postawa samarytańska. Mówiąc o różnych formach ubóstwa, o potrzebie wrażliwości na ludzkie nieszczęście oraz obowiązku udzielenia bliźnim niezbędnego wsparcia, a także beatyfikując osoby znane z troski o najuboższych i odrzuconych, akcentował to oblicze miłosierdzia, które wcześniej konsekwentnie nazywał solidarnością. Solidarność, wyrastająca z poczucia głębokiej braterskiej wspólnoty, ma być naszą odpowiedzią na każdą ludzką biedę, niezależnie od tego, czy osoby, które należy wesprzeć, same są sobie winne, czy zawinili inni, czy też winien jest po prostu los. Problem winy jako przyczyny nieszczęścia – choć może się okazać ważny w perspektywie działań bardziej długofalowych – z pewnością nie jest pierwszoplanowy, gdy ktoś cierpiący pilnie oczekuje na pomocną dłoń.

*Zakres praktykowania
samarytańskiej postawy zależy
przede wszystkim od
przewycięzania ociążałości
naszych serc*

Oczywiście, postawa samarytańska jest potrzebna zawsze i wszędzie, i nigdy jej za wiele; trudno jednak nie dostrzec pozytywnych zmian, które pod tym

względem zaszły w naszym kraju. Współcześni polscy apostołowie miłosierdzia budzą dziś powszechny podziw i szacunek. Co więcej, zamiast prowadzić boje ze zwalczającymi ich działalność instytucjami państwa, jak to było przed rokiem 1989, mogą czasem nawet liczyć na ich wsparcie. Na tle wielorakich sporów aksjologicznych dzielących polskie społeczeństwo, tak

rozumiane miłosierdzie wyróżnia się jako niekwestionowana i powszechnie akceptowana wartość, choć zdarzają się oczywiście różnice poglądów w kwestii właściwych form jej realizacji. Można zatem stwierdzić, że dla samarytańskiej solidarności z potrzebującymi istnieje w naszym kraju zarówno sprzyjający klimat duchowy, jak i w miarę przyjazna przestrzeń instytucjonalna, toteż zakres praktykowania takiej postawy zależy przede wszystkim od przezwyciężenia ociążałości naszych serc.

Istnieje jednak drugie, nie mniej ważne oblicze miłosierdzia, w którym kwestia winy i odpowiedzialności, a tym samym i sprawiedliwości, nie może zostać pominięta. Czym innym jest bowiem zło fizyczne (choroba, nieszczęście), czym innym zaś zło moralne (wina, krzywda, grzech) – inaczej też w obu przypadkach wygląda perspektywa skutecznej pomocy, której może udzielić osoba gotowa okazać miłosierdzie. Jeśli w pierwszym przypadku chodzi głównie o to, abyśmy uświadomili sobie, co wynika z oczywistego poczucia wspólnoty i solidarności z braćmi będącymi w potrzebie, o tyle w drugim – w przypadku zła moralnego, które sięga głębiej i niszczy elementarne relacje międzyludzkie – najważniejsze okazuje się przywrócenie zerwanych więzi wspólnoty. Najważniejsze i – dodajmy – znacznie trudniejsze.

To drugie oblicze miłosierdzia stanowi główny temat encykliki *Dives in misericordia* (1980, dalej: DM). W centrum rozważań Jana Pawła II znajduje się tu nie przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, ale o synu marnotrawnym: o kimś, kto się zagubił i zmarnował swoje dziedzictwo, ale zdołał się opamiętać i oto wraca skruszony do domu ojca, który przyjmuje go z radością. Opowieść ta ma charakter uniwersalny. Jest archetypem każdej sytuacji autentycznego przebaczenia i pojednania, niezależnie od tego, czy

następuje ono w ramach chrześcijańskiego sakramentu pokuty, czy też w zwyczajnych, „świeckich” konfliktach między ludźmi. „Ten syn – pisze Papież – [...] to poniekąd człowiek wszystkich czasów” (DM 5).

Bólem, który woła o pomoc, nie jest tu po prostu materialna nędza czy fizyczne osamotnienie syna, ale coś o wiele ważniejszego – utracona synowska godność, zmarnowane człowieczeństwo. Kto doznaje bólu? – Taki ból jest zawsze po stronie zranionej miłości! Gdy syn porzuca dom i trwoni swoje dziedzictwo w uciechach świata, to nie on zrazu cierpi, lecz jego ojciec. Nawet nieskończona dobroć i miłosierdzie ojca nie są w stanie same ugasić owego cierpienia, albowiem ból wzmagą się tym bardziej, im większa jest ojcowska miłość, im większe pragnienie odbudowania zerwanej więzi z synem. Nikt inny, niż tylko zagubiony syn może się okazać tym, który zdolny jest opatrzyć i uleczyć ojcowską ranę[2]. Miłosierdzie ojca, aby odrodzić zniszczoną wspólnotę, musi więc się spotkać z działaniem podjętym przez syna; nie jest ono postawą jednostronną, lecz wymaga wzajemności. Ksiądz Józef Tischner, komentując papieską encyklikę, ujął to w prostych słowach: do drzwi miłosierdzia potrzeba dwóch kluczy – jeden ma w ręku ojciec, a drugi syn; z jednej strony potrzebna jest gotowość przebaczenia, z drugiej – nawrócenie[3].

*Do drzwi miłosierdzia potrzeba
dwóch kluczy – jeden ma w ręku
ojciec, a drugi syn*

W ewangelicznej opowieści drzwi od strony ojca są zawsze otwarte, dlatego też przywrócenie wspólnoty zależy w

gruncie rzeczy od postawy marnotrawnego syna. Co jest tym kluczem, co jest koniecznym warunkiem urzeczywistnienia miłosierdzia, którego wypełnienie spoczywa wyłącznie w jego rękach? Jest nim przede wszystkim akt spojrzenia

na siebie w prawdzie. Dopiero znalazłszy się na dnie, syn nie tylko uświadamia sobie, ile zmarnował i zaprzepaścił, ale przede wszystkim wreszcie dostrzega swoją szczególną synowską godność, która, choć poraniona i nadwątlona jego własnymi czynami, ciągle jest w nim żywa. Kiedy już odkryje w sobie ten sam ból, który rozdziera ojcowskie serce – ból z powodu zagubionego człowieczeństwa i zerwanej więzi – nic nie będzie dla niego ważniejsze niż powrót do domu. Syn wyrusza w drogę, gotów przyjąć na siebie wszelkie konsekwencje swojego dotychczasowego marnotrawnego życia:

Uświadamia sobie że nie ma prawa do niczego więcej, jak do stanu najemnika w domu swojego ojca. Decyzja jego zostaje podjęta z całym poczuciem tego, na co zasłużył i do czego jeszcze może mieć prawo przy zachowaniu ścisłej sprawiedliwości (DM 5).

Powracający syn nie zostaje jednak najemnikiem. Widząc jego skrucę, ojciec potwierdza jego synowską godność i przyjmuje do rodziny. Jest bowiem świadom, że:

[...] ocalone zostało zasadnicze dobro: dobro człowieczeństwa jego syna. Wprawdzie zmarnował majątek, ale człowieczeństwo ocalało (DM 6).

W ten sposób miłosierdzie zostaje wypełnione, ból rozdarcia – ból ojca i ból syna – wygaszony, wspólnota przywrócona.

W ewangelicznej przypowieści pojawia się również inna ważna postać – postać starszego syna, który najchętniej, gdyby to on dzierżył ojcowskie klucze, nikogo, kto raz porzucił dom, z powrotem by nie wpuścił. Starszy syn

wydaje się niewrażliwy i niemiłosierny; tak jak teraz nie odczuwa radości będącej udziałem ojca, tak zapewne wcześniej nie odczuwał jego bólu. Z drugiej strony trudno mu odmówić wielu zalet: jest posłuszny, wiernie przestrzegający ojcowskich przykazań, sprawiedliwy – właśnie poczuciem, że naruszone zostają zasady, których nauczył się w domu ojca, motywuje swój sprzeciw, aby w powracającym uznać swego brata. Nie pojmując, czym jest miłosierdzie, wyraźnie obawia się, że okaże się ono aktem rażącej niesprawiedliwości. Obawia się niesłusznie, bo, jak tłumaczy mu ojciec:

[...] ty zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy. A trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się (Łk 15,31–32).

Chociaż w encyklice *Dives in misericordia* postawa starszego brata nie jest bezpośrednio rozważana, obrazowany jego osobą delikatny problem relacji między sprawiedliwością a miłosierdziem znajduje jednoznaczną wykładnię:

Wymagane przebaczenie nie niweczy obiektywnych wymagań sprawiedliwości.[...] W żadnym miejscu orędzia ewangelicznego ani przebaczenie, ani też miłosierdzie jako jego źródło, nie oznacza pobłażliwości wobec zła, wobec zgorszenia, wobec krzywdy czy naprawienie zgorszenia, wyrównania krzywdy, zadośćuczynienia zniewagi wyrządzonej. W każdym wypadku naprawienie tego zła, naprawienie zgorszenia, wyrównanie krzywdy, zadośćuczynienie za zniewagę, jest warunkiem przebaczenia. Tak więc podstawowa struktura sprawiedliwości wkracza zawsze na obszar miłosierdzia. To ostatnie posiada jednakże moc wypełnienia sprawiedliwości nową treścią. Treść ta najprościej i najpełniej uwydatnia się w przebaczeniu. Ono, bowiem, ukazuje, iż poza całym procesem „wyrównawczym”, czy „rozejmowym”,

który właściwy jest dla samej sprawiedliwości, dochodzi do głosu miłość, czyli afirmacja człowieka. Spełnienie zaś warunków sprawiedliwości jest nade wszystko nieodzowne, ażeby ta miłość mogła niejako odślonić swoje oblicze” (DM 14).

Powtórzmy: miłosierdzie nie przeciwstawia się wymaganiom sprawiedliwości ani też ich nie pomija, ale zakłada je i potwierdza.

*

Refleksje Jana Pawła II osnute wokół przypowieści o synu marnotrawnym jasno ukazują sens oraz konieczne warunki realizacji tego aspektu miłosierdzia, które wyraża się w przebaczeniu win i pojednaniu. W ich świetle zapytajmy wprost: czy w życiu społeczno-politycznym dzisiejszej Polski owo przebaczenie i pojednanie ma jakąkolwiek szansę, aby się stać rzeczywistością? Nie trzeba szczególnej wyobraźni, by dostrzec, że to właśnie w tej sferze mamy do czynienia z największym „deficytem” miłosierdzia, że tu znajduje się źródło najbardziej dotkliwego bólu, który rozdziera nasz ojczysty dom i który nie może znaleźć ukojenia. Klimat duchowy, który panuje wokół tak rozumianego miłosierdzia, na pewno nie jest sprzyjający, a rozwiązania instytucjonalne – wręcz mu wrogie.

Istnieje bowiem w naszym kraju ogromna rzesza ludzi, którzy cierpią nie tylko z powodu biedy, braku pracy, osamotnienia czy choroby, ale przede wszystkim z powodu braku sprawiedliwości. Skrzywdzeni przez innych, pozbawieni nadziei na zadośćuczynienie, niosą w sobie rany podeptanej godności. Nie chodzi tu jednak wcale o powszechnie znaną niewydolność systemu sądownictwa ani też o coraz liczniejsze przypadki naruszania sprawiedliwości

*Czy w życiu społeczno-
politycznym dzisiejszej Polski
owo przebaczenie i pojednanie
ma jakąkolwiek szansę, aby się
stać rzeczywistością?*

przez instytucje, które
mają stać na jej straży.
Te wszystkie
występujące obecnie
negatywne zjawiska
mają o wiele głębsze
źródło. Wspiera je
zasada, która stała się
fundamentem i aktem

założycielskim III Rzeczypospolitej – zasada wystawienia sprawiedliwości na
pośmiewisko.

Spoglądając na dramat dzisiejszej Polski przez pryzmat przypowieści o synu
marnotrawnym, musimy zauważyć, że sytuacja naszego kraju – podobnie jak
innych państw, które wloką za sobą cień totalitarnej przeszłości – jest znacznie
bardziej skomplikowana, ponieważ marnotrawni synowie nie tylko marnowali
swoją część ojcowizny, ale, co gorsza, stali się najemnikami niszczącymi
dziedzictwo, a czasem i życie swoich braci. Spustoszenia, które spowodowali,
nie ulotniły się bez śladu. Są wśród nas ich świadkowie: rodziny
pomordowanych, byli więźniowie, ludzie bici, okradani z własności,
wyrzucani z pracy, pozbawiani możliwości nauki, studiów, zmuszani do
emigracji i – co dotyczy bez wyjątku wszystkich – od dzieciństwa zatruwani
kłamstwami komunistycznej propagandy. Jest żywa pamięć o latach
nieprawości, są ofiary i wciąż niezagojone rany, tylko ich sprawcy jakoś
zniknęli. Nic dziwnego, że wielu skrzywdzonych ludzi niesie w sobie głębokie
poczucie niesprawiedliwości. To jest ich najdotkliwszy ból i rana, która pilnie
domaga się opatrzenia.

Oczywiście, bywają krzywdy obiektywnie już nie do naprawienia: ich sprawcy nie żyją, nie ma też świadków, brakuje dowodów. To wszystko można by zrozumieć i z tym się pogodzić, gdyby krzywdę nazywano krzywdą, ofiarę – ofiarą, sprawcę – sprawcą, a ludzie zranieni mieli poczucie, że w ich ojczystym domu sprawiedliwość, jako niepodważalna wartość i stale obecna zasada regulująca życie wspólnoty, nie jest otwarcie lekceważona. Gdy dzieje się inaczej, do dawnego bólu dołącza się ból nowy, czasem bardziej dotkliwy. Jak można mu zaradzić? Kto ma tu być miłosiernym Samarytaninem? Odpowiedź jest prosta: to na osobach odpowiedzialnych za państwo spoczywa elementarny obowiązek takiego kształtowania jego praw i instytucji, aby ich celem nie było nic innego niż właśnie sprawiedliwość. Niestety, ta prosta odpowiedź zarówno dla ojców założycieli III RP, jak i dla kolejnych formacji politycznych rządzących Polską okazała się zbyt trudna – uznano ją za nieistotną, szkodliwą i niezrozumiałą.

W jaki sposób zakwestionowano potrzebę oparcia fundamentów naszego państwa na imperatywie bezwzględnego przestrzegania zasady sprawiedliwości? Otóż wielokrotnie mogliśmy usłyszeć, że sprawiedliwości nie należy dociekać zbyt rygorystycznie, ponieważ ci, którzy się jej domagają, kierowani są przede wszystkim pragnieniem zemsty. Trudno wykluczyć, że czasem bywa i tak. Jakie to jednak ma znaczenie wobec obowiązku sprawiedliwej kary i naprawienia krzywd? Miarą sprawiedliwości jest przecież sam czyn oraz intencje jego sprawcy, a późniejsze odczucia ofiar nie mają tu nic do rzeczy. Jeśli nawet się zdarza, że ktoś boleśnie skrzywdzony pragnie ujrzeć cierpienia swego prześladowcy, to czy obniża to w jakikolwiek sposób wagę przestępczego czynu i usprawiedliwia krzywdziciela?

*Miarą sprawiedliwości jest
przecież sam czyn oraz intencje
jego sprawcy*

Nie wszyscy jednak
pokrzywdzeni żywią w
swoich sercach wrogię
uczucia i wielu z nich z
pewnością byłoby
gotowych pojednać się

z dawnymi krzywdzicielami. Ich wołanie o prawdę i sprawiedliwość nie ma nic wspólnego z zemstą, ale bierze się z pragnienia posiadania ojczyzny, która byłaby miejscem autentycznej powszechnej wspólnoty. Jest wyrazem bólu rozdarcia – tego samego bólu, który przeszywał ojca czekającego na powrót marnotrawnego syna. Tylko przebaczenie zagoiłoby ową ranę, ale tam, gdzie niespełnione zostały warunki elementarnej sprawiedliwości, skrzywdzeni nie tylko nie mają szansy, aby faktycznie przebaczyć, ale nawet sama ich gotowość do wybaczenia jest wystawiona na ciężką, nie mającą końca próbę. Z rany, która się nie goi i jątrzy, wciąż rodzi się pokusa, aby na swego krzywdziciela spoglądać nie z miłością, jak na zagubionego brata, tylko z nienawiścią – jak na śmiertelnego wroga. Albowiem to nie z żądzy zemsty budzi się pragnienie sprawiedliwości, lecz odwrotnie – to raczej zdeptana nadzieja na osiągnięcie sprawiedliwego zadośćuczynienia sprzyja pojawieniu się uczucia nienawiści i pragnieniu zemsty. W takiej sytuacji trzeba doprawdy wielkiej siły ducha, aby się nie poddać owej pokusie.

Obok tysięcy ludzi, których dawne rany zaczęłyby się goić, gdyby tylko mogli dostrzec, że ich ojczysty dom został oparty na sprawiedliwych zasadach, żyje w naszym kraju nie mniej liczne grono osób być może o wiele bardziej potrzebujących miłosierdzia. To bezpośredni i pośredni sprawcy owych ran. To ci wszyscy, którzy w różnych miejscach i na rozmaite sposoby przez lata budowali oraz wspierali komunistyczny system, niszcząc i krzywdząc zarówno swoich bliźnich, jak i samych siebie. Oni również – każdy na miarę swoich

własnych czynów – potrzebują prawdy i sprawiedliwości, aby odnaleźć powrotną drogę do domu ojca. Problem w tym, że ogromna ich większość wcale jej nie poszukuje.

Kiedy zastanawiamy się nad klimatem duchowym panującym dziś w naszej ojczyźnie, nic nie daje bardziej do myślenia niż to, że po upadku komunizmu nie było niemal żadnych publicznie znanych nawróceń, żadnego uznania własnych win i gotowości zadośćuczynienia. Mimo żywej pamięci świadków, mimo pracy historyków, którzy wydobywają na jaw coraz to nowe szczegóły o zbrodniach oraz większych i mniejszych nikczemnościach związanych z okresem PRL-u, ich sprawcy, a choćby tylko ich bierni współuczestnicy, robią wszystko, aby zataić prawdę o przeszłości oraz wymazać ją ze swojej i naszej pamięci. A jeśli w obliczu niepodważalnych dowodów nie mogą już czemuś wprost zaprzeczyć, to nie widać na ich twarzach nawet cienia wstydu.

Dlaczego synowie marnotrawni nie chcą wracać do domu? Dlaczego zupełnie nie rozlega się głos tych, którzy nie tak dawno krzywdzili swych braci i dziś najgłośniej powinni wołać o pomoc i wybaczenie? Pytaniom tym dodaje dramatyzmu fakt, że przecież wcale nie tak dawno, bo w latach rewolucji etycznej 1980–1981, przeżyliśmy w Polsce okres masowych nawróceń[4]. Dlaczego więc po roku 1989 nastał czas masowej amnezji?

Możliwe są tu różne odpowiedzi. Pierwsza z nich brzmiałaby tak: brak nawróceń nie powinien dziwić, ponieważ ci, którzy mieli wrócić, wrócili już wcześniej. Kto po wprowadzeniu stanu wojennego opowiedział się po stronie komunistycznego reżimu, ten ostatecznie okazał się człowiekiem pozbawionym sumienia, wybrał życie w kłamstwie, świadomie oddając się na służbę nieprawości. Nie ma zatem co liczyć na nowe nawrócenia ani na „wspólny dom”. Trzeba po prostu uwzględnić fakt, że w Polsce istnieją dwa radykalnie wrogie obozy, między którymi nie ma żadnej możliwości pojednania i między którymi toczyć się będzie walka aż do zwycięstwa

jednego z nich. Jeśli chcemy, aby nasz kraj stał na fundamencie prawdy i sprawiedliwości, musimy doprowadzić do wykluczenia z niego tych wszystkich, którzy służyli i dalej służą nieprawości. Nietrudno zauważyć, że choć taka odpowiedź w opisie rzeczywistości społecznej wydaje się w dużym stopniu prawdziwa, to jest ona jednocześnie odpowiedzią głęboko niechrześcijańską, naznaczoną widocznym piętnem manicheizmu. Przypomina niemiłosierną postawę starszego syna, który swemu zagubionemu bratu – gdyby ten jakimś trafem zechciał wrócić do domu – zamiast przebaczenia i pojednania gotów jest okazać jedynie wzgardę i zamknięte drzwi.

*Może winni są wszyscy ci, którzy
osądzają i potępiają innych,
odpychając ich tym samym od
ojcowskiego domu?*

A może to właśnie
starsi bracia
spowodowali, że ci
młodszy nie wracają?
Może winni są
wszyscy ci, którzy – z
niewzruszonym

poczuciem własnych zasług i nieskalanej wierności – osądzają i potępiają innych, odpychając ich tym samym od ojcowskiego domu? Niezależnie od tego, jak irytująca bywa taka postawa, to z pewnością nie ona stanowi główną przyczynę tego, że marnotrawni synowie nie spieszą się z powrotem.

Ostatecznie dom jest domem ojca, a nie nadgorliwego starszego syna.

Prawdziwy dylemat ludzi zagubionych polega na tym, czy pamiętają oni jeszcze, gdzie się mieści ich ojcowski dom oraz czy pragną do niego wrócić.

Natomiast problem starszego sprawiedliwego syna jest przede wszystkim jego własnym wewnętrznym problemem, który zresztą ujawnia się w pełni dopiero wówczas, gdy nawrócony brat stoi już u drzwi.

Na pewno nie sprzyjała nawróceniom sytuacja, gdy dawni funkcjonariusze komunistycznego systemu już u progu III RP zapewnili sobie materialne uprzywilejowanie w stosunku do reszty społeczeństwa. Wielu z nich, całkowicie pochłoniętych nowymi możliwościami rozrzutnego życia, nie było i wciąż nie jest gotowych do jakiegokolwiek refleksji nad sobą i własną przeszłością. Trudno jednak przypuszczać, by dotyczyło to wszystkich ludzi uwikłanych w zło PRL-u. Zapewne przynajmniej niektórzy odczuli po 1989 roku cień niepokoju. Może było im głupio, że ich dotychczasowy pomysł na życie – oportunizm, cynizm, gotowość na kłamstwo dla wygody i kariery – został publicznie nazwany podłością. Może choć przez chwilę uświadomili sobie wagę utraconej godności, poczuli się z tym nieswojo i zapragnęli wrócić do domu ojca. Dlaczego zatem zatrzymali się w pół drogi? Dlaczego zachowali się tak, jak gdyby nie było żadnego domu ojca, żadnej ojczyzny, która na nich czeka? Dlaczego uznali, że powrót wcale ich nie dowartościuje, a wyznanie win okaże się tylko dodatkowym poniżeniem, z którego nie wyniknie żadne potwierdzenie synowskiej godności ani przywrócenie na łono wspólnoty?

Czy nie są za to w największym stopniu odpowiedzialni ci, którzy od początku III RP wszem i wobec głoszą, że nie ma żadnego domu ojca, że dążenie do prawdy i sprawiedliwości to tylko wyraz resentymentu słabych i przegranych, pragnących w ten sposób zemścić się na tych, którym się powiodło? Co ma bowiem robić syn marnotrawny, który w ich słowa uwierzy i ostatecznie zwątpi w to, że ma jeszcze dokąd wracać? Jaka droga się przed nim otwiera? W świecie, w którym nie ma ani pamięci prawdziwego domu, ani perspektywy synów obdarzonych najwyższą godnością, pozostaje jedynie miejsce dla sług takiego czy innego hodowcy świń, a szczytem życiowej kariery dla najbardziej ambitnych – stanie się samemu panem i właścicielem jakiegoś stada. Z pewnością to właśnie ci ludzie, którzy – świadomie lub bezmyślnie – proponują i rozpowszechniają taką wizję świata najbardziej dzisiaj potrzebują

miłosierdzia. To ich ciężką winą jest pozbawianie nadziei zarówno ofiar, jak i sprawców krzywd: ofiar – nadziei na zablźnienie ran, krzywdzicieli – na ponowne odkrycie godności i wolności, których warunkiem jest uznanie prawdy o sobie oraz o własnych czynach. To oni budują mur, który dzieli naszą ojczyznę na dwa wrogie obozy i przekreśla szanse zbudowania autentycznej wspólnoty.

Aby miłosierdzie jako przebaczenie i pojednanie mogło się w Polsce objawić, potrzebni są świadkowie tego, że ojcowski dom istnieje i czeka na synów marnotrawnych z otwartymi drzwiami. Najbardziej wiarygodnym świadkiem owego przesłania jest dziś sam Ojciec Święty, żywy symbol domu ojca, domu opartego na prawdzie i sprawiedliwości, do którego każdy, nawet najbardziej zagubiony syn – jeśli tylko odnajdzie w sobie głos sumienia i wróci skruszony, gotowy zaakceptować zasady obowiązujące w ojcowskim domu – zostanie przyjęty z radością, wywyższony i dowartościowany. W czasie ostatniej papieskiej pielgrzymki w łagiewnickim sanktuarium padły słowa, których zrozumienie i wypełnienie stanowi najważniejsze wyzwanie dla nas wszystkich – wierzących i niewierzących – ludzi dobrej woli poszukujących wspólnej ojczyzny:

Potrzeba miłosierdzia, aby wszelka niesprawiedliwość na świecie znalazła kres w blasku prawdy[5].

Wrzesień 2002 roku.

Zbigniew Stawrowski

Tekst pochodzi z książki Zbigniewa Stawrowskiego „Solidarność znaczy więź. AD 2020”.

* * *

[1] Pielgrzymka trwała od 16 do 19 sierpnia 2002 roku.

[2] Można wręcz powiedzieć – niezależnie, jak paradoksalnie by to zabrzmiało – że powracający marnotrawny syn może stać się w stosunku do swojego ojca miłosiernym Samarytaninem, choć z całej opowieści wynika raczej, że wraca on do domu nie dlatego, że prowadzi go obraz cierpiącego ojca, ale wciąż jeszcze ta sama miłość własna, która jednak, doświadczona życiową klęską, w upadku i upokorzeniu odkryła, że tylko w domu ojca odnajdzie swoje miejsce i spełnienie swych nadziei.

[3] Por. Józef Tischner: *Drogi i bezdroża miłosierdzia*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2001, s. 49.

[4] O ruchu Solidarności jako wspólnocie ludzi, którzy nawrócili się w tym sensie, że odkryli, iż tak naprawdę liczy się jedynie życie zgodne z sumieniem zob. rozdział *Solidarność znaczy więź* w niniejszym tomie, s. 292-312.

[5] Jan Paweł II, Homilia w czasie Mszy św. i konsekracji sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach, 17 sierpnia 2002, w: *Jan Paweł II. Pielgrzymki do ojczyzny*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2005, s. 1207.

